

NOWA POWIEŚĆ
AUTORA BESTSELLERA

LOKATORKA



PERFEKCYJNA ŻONA

ŚLUB. POGRZEB. NASTĘPNA.

JP DELANEY



JP DELANEY

PERFEKCYJNA ŻONA

TŁUMACZENIE ANNA DOBRZAŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginalu: *Believe Me*

Copyright © 2018 Shippen Productions. All rights reserved.
This translation published by arrangement with Ballantine Books,
an imprint of Random House, a division of Penguin Random House
LLC

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki: Andrew Smith

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Antoha713 / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-533-4



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Pygmalion, widząc ich haniebne życie
i czując obrzydzenie do grzechów,
którymi charaktery kobiet są już z natury
nadmiernie obciążone, żył samotnie, długo
nie dzieląc łoża z żadną niewiastą*.

Owidiusz, *Metamorfozy*

Czymże jest miłość, jeśli nie innym
określeniem pozytywnego wzmocnienia**?

B.F. Skinner, *Walden Two*

* Owidiusz, *Metamorfozy*, tłum. A. Kamieńska, S. Stabryła, Wrocław 1995, s. 263 (przyp. tłum.).

** B.F. Skinner, *Walden Two*, tłum. A. Dobrzańska.

W drodze do domu Tim milczy. Nigdy nie był rozmowny, ale tym razem jest inaczej. Wydaje się niemal wyczerpany.

Pamiętasz, że tak właśnie wyglądał po ważnej prezentacji dla inwestorów. Po tygodniach życia w biurze i ślęczenia nad każdym szczegółem dosłownie leciał z nóg, był tak wyczerpany, że ledwie mówił.

Jeśli chodzi o ciebie, kolejny raz doznajesz szoku. Odrazą kierowcy jest niczym w porównaniu ze wstrętem i z nienawiścią, które czujesz do siebie.

– Tego chciałeś – mówi w końcu Tim. – Proszę, uwierz w to, Abs. Wiem, że wydaje ci się to dziwne, ale przyzwyczaisz się. Byłaś najodważniejszą osobą, jaką znałem.

Czy rzeczywiście byłaś odważna? Wspomnienia migoczą na obrzeżach twojej pamięci. Surfowanie na wielkiej fali w Linda Mar. Spawanie instalacji i ogniste iskry strzelające w niebieskie szkła okularów spawalniczych. A później nic. Tylko mgła.

Odwracasz się i wyglądasz przez okno, unikając patrzenia na własne niewyraźne odbicie. San Francisco wygląda zarazem znajomo i obco, jak kraj, do którego wracasz po wielu latach. Z wygnania, którego nawet nie pamiętasz.

Większość budynków wygląda tak samo. Zmieniły się tylko szczegóły – telefony w dłoniach ludzi są teraz większe, nie mniejsze, gdziekolwiek spojrzysz, widzisz rowery elektryczne i białe toyoty prius, które niemal zupełnie wyparły żółte taksówki. A dzielnica Mission wygląda jeszcze lepiej, na każdym rogu widać bary kawowe.

Za kolejnym zakrętem przestajesz cokolwiek rozpoznawać. W jednej chwili wszystko wydaje ci się znajome. A zaraz potem wszystko rozmywa się we mgle.

– Czemu tego nie pamiętam? – pytasz spanikowana.

– Tworzenie wspomnień wykorzystuje znaczną część mocy procesora. Musiałem je selekcjonować. W końcu luki same się wypełnią.

Nadjeżdżająca z naprzeciwka śmieciarka z głośnym chrzęstem miażdży pod kołem plastikową butelkę. Postanawiasz, że to właśnie zrobisz. Zaczekasz kilka dni i rzucisz się pod ciężarówkę. Śmierć z całą pewnością będzie lepsza od tej odrażającej karykatury życia.

Ale z chwilą, gdy o tym myślisz, zaczynasz się zastanawiać, czy rzeczywiście jesteś tak odważna, żeby to zrobić. A jeśli tak, czy technicy Tima znów poskładają cię z powrotem jak zabawkę z jajka niespodzianki?

Znów... Uświadamiasz sobie, że nie masz pojęcia, co się z tobą stało.

– Jak umarłam? – Słyszysz, jak pytasz.

Tim patrzy na ciebie, twarz ma spiętą.

– Porozmawiamy o tym. Obiecuję. Ale jeszcze nie teraz. Chyba jeszcze nie jesteś gotowa na tę rozmowę.

Prius zatrzymuje się przed elektryczną bramą. Za nią rozpoznajesz swój dom, uroczą posiadłość z białym oszaleowaniem. Mimo astronomicznych cen nieruchomości w centrum San Francisco moglibyście mieszkać w jeszcze okazalszym budynku. Tim był bogaty, nawet jak na

standardy branży informatycznej. Ale nie lubił się z tym obnosić. Zastanawiasz się, czy w garażu nadal stoi ten sam zdezelowany volkswagen.

– Witaj w domu – mówi łagodnie.

Zamek w drzwiach frontowych zacina się i mija chwila, zanim w końcu udaje mu się je otworzyć. Z jakiegoś powodu to również – sposób, w jaki przygarbia się, cierpliwie majstrując przy zamku – wydaje ci się znajome. Rozglądasz się dookoła i widzisz zamontowaną nad drzwiami kamerę. Kolejny upload.

Wnętrze jest znajome, a zarazem obce, jak gdybyś odwiedzała dom, w którym mieszkałaś w dzieciństwie.

– Oprowadzę cię – mówi uspokajająco. – Spróbuję zappełnić luki.

Najpierw kuchnia. Zalana słońcem, wygodna, z profesjonalną kuchenką elektryczną. Garnki firmy Mauviel podzwaniają delikatnie nad naszymi głowami jak wielkie miedziane dzwoneczki wietrzne. Otwierasz pierwszą lepszą szafkę. W środku są przyprawy – nie mielone, w całości, zamknięte w szklanych słoikach, z których każdy opatrzone etykietką podpisaną twoim charakterem pisma.

– Uwielbiasz gotować – tłumaczy Tim.

Tak? Próbujesz przypomnieć sobie jakąkolwiek potrawę, którą ugotowałaś, ale w głowie masz pustkę. I nagle – pstryk – już pamiętasz. Wszystkie te zdjęcia na Instagramie, setki zdjęć. Miałaś nawet followersów, którzy ochoczo kopiowali wszystko, co zrobiłaś.

Wskazujesz na miskę z okrągłymi przedmiotami stojącą na blacie. Ich kolor jest tak żywy, że od patrzenia na nie bolą cię oczy.

– Co to? – pytasz.

– To? – Bierze jeden i podaje ci go. – To pomarańcze. Słowo nie ma sensu.

- Pomarańczowy to kolor.
- Tak. Kolor, którego nazwa pochodzi od owocu. – Przygląda ci się z uwagą. – Jak limonkowy. I brzoskwiniowy.
- Ale one nie są pomarańczowe, prawda? – Zaciekawiona obracasz w palcach jaskrawą kulę. – Przynajmniej nie tak pomarańczowe jak marchew. A w ciepłych krajach pomarańcze są zielone. – Coś jeszcze nie daje ci spokoju. – Moje włosy mają ten sam kolor. Ale ludzie nazywają go rudy. Albo płomienny. Nie pomarańczowy.
- Tak. Ale płomienny to nie kolor. Ani owoc.
- Nie... to kolor ognia. Kiedyś kojarzono go z ognistym temperamentem. – Pstryk. Urywasz zmieszana. – Pamiętałam to czy tylko zgadywałam?
- Ani jedno, ani drugie. – Uśmiech przegania zmęczenie z jego oczu. – To tak zwane głębokie uczenie. Nie jesteś tego świadoma, ale twój mózg porównał właśnie miliony przykładów w chmurze i stworzył regułę dotyczącą kolorów i owoców. Najbardziej niesamowite jest to, że nawet ja nie potrafię wytłumaczyć, jak to zrobiłaś. To znaczy mógłbym podłączyć monitor i zobaczyć wykresy, ale niewiele bym z tego zrozumiał. Powtarzam swoim pracownikom, że „S” w skrócie SI nie oznacza już „sztuczna” tylko „samodzielna”.
- Ze sposobu, w jaki to mówi, wnioskujesz, że jest niesamowicie dumny. Jesteś punktem zwrotnym, przełomem.
- Jak możesz mnie taką kochać? – pytasz.
- Przez chwilę na jego twarzy maluje się jakaś zaciętość, niemal złość. Zaraz jednak łagodnieje.
- „Miłość to nie miłość, jeśli zmienny świat naśladując, sama się odmieni”* – cytuje. – Sonet sto szesnasty,

* W. Szekspir, *Sonet CXVI*, [w:] tegoż *Dzieła wszystkie, Tom I POEZJE*, przełożył Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2004, s. 142 (przyp. tłum.).

pamiętasz? Czytaliśmy go na naszym ślubie. Każde z nas po cztery linijki, na zmianę. I ostatni dwuwiersz razem.

Kręcisz głową. Nie pamiętasz tego.

– Przypomnisz sobie – zapewnia cię, a ty zastanawiasz się, czy ma na myśli wspomnienie, czy uczucie. – Chodzi o to, że dla nas nie były to puste słowa. Zawsze byłaś wyjątkowa, Abbie. Niezastąpiona. Byłaś perfekcyjną żoną. I matką. Miłością mojego życia. Wszyscy to mówią, prawda? Ale ja naprawdę tak uważam. Po tym jak cię straciłem, wiele osób mówiło mi, że powinienem żyć dalej, znaleźć kogoś, z kim mógłbym spędzić resztę życia. Ale ja wiedziałem, że tak się nie stanie. I dlatego zrobiłem to. Czy postąpiłem słusznie? Nie wiem. Ale musiałem spróbować. Już sam fakt, że mogę z tobą rozmawiać, że jesteś tu, w naszym domu i słyszę, jak mówisz, sprawia, że cały ten wysiłek nie poszedł na marne. Kocham cię, Abs. Zawsze będę cię kochał. Tak jak obiecywaliśmy sobie w dniu ślubu.

Milknie i czeka.

Wiesz, że powinnaś powiedzieć: „Ja ciebie też”. Bo przecież go kochasz. Oczywiście, że go kochasz. Ale to wszystko jest jeszcze zbyt świeże, zbyt szokujące. Powiedzenie Timowi teraz, że go kochasz, byłoby równoznaczne z powiedzeniem: „Tak, w porządku. Postąpiłeś słusznie, mężu. Cieszę się, że zmieniłeś mnie w ten wynaturzony, odrażający kawałek plastiku. Warto było, bo dzięki temu mogę być tutaj z tobą.

Ja także kocham cię i wielbię nad życie...”

– Idziemy dalej? – pyta po chwili, kiedy się nie odzywasz.

Idziesz za nim na górę. Musisz trzymać się poręczy i ostrożnie stawiasz stopy na każdym stopniu.

– Wszystkie należały do ciebie – mówi, kiedy mijacie wielką bibliotekę z regałami ciągnącymi się od podłogi do sufitu. – Kochałaś książki, pamiętasz? A to pokój Danny’ego.

Sypialnia, którą wskazuje, pierwsza przy schodach, nie wygląda jak pokój dziecka. Nie ma tu zasłon, dywanu, żadnych komiksów, obrazków ani zabawek. Jedyнным wyposażeniem, oprócz łóżka, jest mały telewizor i półka z płytami DVD. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że panują tu spartańskie warunki, ale wiesz, że dla dziecka takiego jak Danny ta przestrzeń to oaza spokoju, miejsce, w którym może się zrelaksować. A przynajmniej nie czuje takiego stresu.

– Jak on się ma? – pytasz.

– Robi postępy. Powoli, ale... – Tim zawiesza głos.

– Rozpozna mnie?

Tim kręci głową.

– Nie sądzę. Przykro mi.

Czujesz ukłucie smutku. Ale przecież nawet normalne dziecko po pięciu latach ma prawo zapomnieć, jak wygląda jego matka. A co dopiero Danny.

Danny cierpi na dziecięce zaburzenie dezintegracyjne, zwane również zespołem Hellera. Jest ono tak rzadkie, że większość pediatrów nigdy nie miała z nim do czynienia. Zamiast tego tłumaczą ci, że to niemożliwe, żeby dziecko po czterech latach życia nagle w ciągu zaledwie kilku koszmarnych tygodni zapadło na autyzm. Że dzieci, które mówiły pełnymi zdaniami, nie mogą cofnąć się w rozwoju i wrócić do komunikowania się ze światem strzępami słów, popiskiwań i fragmentami dialogów z programów telewizyjnych. Że nie zaczynają sikać na dywan i pić wody z sedesu. Że bez powodu nie wyrrywają sobie włosów i nie gryzą ręk aż do krwi.

Kiedy umiera dziecko, świat uznaje to za tragedię. Rodzice rozpaczają, ale istnieje isierka nadziei, że pewnego dnia ich ból będzie mniejszy. Ale DZD odbiera ci dziecko i daje w zamian podmieńca – śliniace się, złamane zombie, które zamieszkuje w ciele twojego maleństwa. Pod pewnymi względami to gorsze niż śmierć. Bo nie możesz przestać kochać tego pięknego nieznajomego, choć w głębi duszy wciąż oplakujesz uroczą istotkę, którą straciłaś.

– Gdzie jest teraz? – pytasz.

– Chodzi do szkoły specjalnej w drugim końcu miasta. Sian, która była jedną z asystentek nauczycieli, ale którą zatrudniłem jako opiekunkę, teraz mieszka z nami. Zawozi go codziennie rano, a po szkole wraca i przeprowadza z nim terapię. To trochę daleko, ale to najlepsza w całym stanie szkoła dla dzieci takich jak on.

Tak wiele cię ominęło, myślisz. Danny chodzi do szkoły. Szkoły, o której istnieniu nie miałaś nawet pojęcia.

Tim otwiera kolejne drzwi.

– A to sypialnia główna.

Wchodzisz do środka. To duży pokój zdominowany przez obraz, autoportret wiszący na ścianie. Kobieta na

obrazie ma rude włosy zaplecione w warkocze – prawie dredy – i upięte niedbale na czubku głowy. W lewym uchu nosi trzy duże kolczyki. Ma na sobie pasiastą koszulę, której dół pokrywają kolorowe smugi, zupełnie jakby wycierała w nią pędzel. Sprawia wrażenie radosnej, pogodnej osoby. Jej szyję zdobi tatuaż, misternej roboty celtycki wzór, który znika pod kołnierzem koszuli i wylania się spod rękawa.

Spoglądasz na własne gumowate ramię w kolorze skóry.

– Nie możemy robić tatuaży – tłumaczy Tim. – Mogłyby uszkodzić materiał, z którego zrobiona jest skóra. – Wskazuje na obraz. – Poza tym jest całkiem udany, nie sądzisz?

Dopiero po chwili uświadamiasz sobie, że ma na myśli to, że jesteś udaną kopią kobiety z obrazu, nie na odwrót. Żeby cię stworzyć, musieli go zeskanować.

Czy kobieta na obrazie to naprawdę ty? Wydaje się zbyt opanowana, zbyt... chłodna. I pewna siebie. Patrzysz na podpis złożony z rozmachem w lewym dolnym rogu. Abbie Cullen.

– Zwykle nie malowałaś olejami – dodaje. – To był twój prezent ślubny dla mnie. Pracowałaś nad nim miesiącami.

– Jejku... A co ty mi dałeś?

– Domek na plaży – rzuca rzeczowo. – Kazałem go dla ciebie zbudować. Jest tam duży garaż, w którym urządziłaś sobie pracownię. Potrzebowałaś miejsca na swoje projekty. – Mówiąc to, otwiera kolejne drzwi, naprzeciw głównej sypialni. – Ale gdy byłaś w mieście, pracowałaś tutaj. To tu namalowałaś swój autoportret.

Podłoga w pokoju jest pochlapana farbą. Stół na kozłach zastawiony jest słoikami z zaschniętymi pędzlami i tubkami stwardniałych farb akrylowych. Wśród nich widzisz srebrne pióro w stojaku. Podchodzisz i bierzesz

je do ręki. W srebrze wygrawerowano napis: ABBIE. NA ZAWSZE. TIM.

– Atrament pewnie już wysechl – mówi. – Kupię nowy. Lepiej sporządź listę.

W otępieniu obciążasz koszulę szpitalną, którą wciąż masz na sobie.

– Chciałabym się przebrać.

– Oczywiście. Twoje ubrania są w szafie.

Pokazuje ci garderobę przylegającą do głównej sypialni. Wiszące w niej sukienki są śliczne – w stylu boho, swobodne, ale wykonane z pięknych materiałów w odważnych, jasnych kolorach. Patrzysz na metki. Stella McCartney, Mark Jacobs, Céline. Miałś dobry gust. I spory budżet, dzięki Timowi.

Wybierasz luźną indyjską sukienkę, którą łatwo będzie włożyć.

– Zostawię cię – mówi taktownie i wychodzi z pokoju.

Masz w pamięci tę ohydłą plastikową czaszkę, więc gdy zdejmujesz koszulę, odwracasz oczy od lustra, ale ciekawość bierze górę i mimo wszystko patrzysz. Łapiesz się na tym, że myślisz, że twoje ciało od lat nie było takie jędrne; odkąd urodziłaś Danny’ego...

Ale to nie jest ciało. Te kończyny zostały połączone na stanowisku montażowym, a skórę pomalowano w komorze lakierniczej. Poniżej talii jest tylko gumowa gładkość, równie pusta i bezpłciowa jak u lalki. Wzdrygasz się i wkładasz sukienkę przez głowę.

Gdzieś na dole rozlega się łoskot i słychać szczeł otwieranych drzwi. Zaraz potem ktoś wbiega na górę.

– Danny, nie biegaj – upomina kobiecy głos.

– Nie wiegaj! – mamrocze piskliwy dziecięcy głosik. – Wieganie! – Kroki na schodach nie zwalniają.

Danny. Odwracasz się i przed oczami migają ci ciemne włosy, głęboko osadzone oczy i pełna napięcia chochlikowata twarz, kiedy chłopiec biegnie korytarzem. Czujesz przypływ matczynej miłości. Nie możesz uwierzyć, jaki jest duży! Ale przecież ma już prawie dziewięć lat. Umknęła ci połowa jego życia.

Idziesz za nim do jego pokoju. Zdążył już wyciągnąć spod łóżka pociągi zabawki.

– Kolejka. Koooleeejkaaa – mruczy gorączkowo, ustawiając wagony jeden za drugim, od największego do najmniejszego przy listwie przypodłogowej.

– Danny? – mówisz, ale on nie reaguje.

– Danny, popatrz. – Gdzieś zza twoich pleców rozlega się kobiecy głos. I rzeczywiście, Danny podnosi wzrok, ale jego oczy prześlizgują się po tobie. Spojrzenie ma beznamiętne, zupełnie jakby nie rozpoznał w tobie człowieka, nie mówiąc o matce.

– Świetnie. Dobra robota. – Kobieta mija cię i kuca przy Dannym. Jest radosną blondynką po dwudziestce, włosy ma zebrane w koński ogon. – Piąteczka, Danny!

– Sian, to... – zaczyna Tim.

– Wiem, co to jest – odpowiada Sian i patrzy na ciebie jeszcze bardziej beznamiętnym wzrokiem niż chwilę temu Danny. – Piąteczka, Danny! – powtarza.

Nie odrywając wzroku od pociągów, chłopiec podnosi rękę, na co Sian uderza w nią dłonią.

– Grzeczny chłopiec, popatrzył i przybił piątkę – chwali go. – A teraz wróćmy na dół i wejdziemy po schodach jak należy. Potem dostaniesz dodatkowy czas z Tomkiem. – Wyciąga rękę. Kiedy Danny nie reaguje, mówi wolno i wyraźnie: – Wstań i weź mnie za rękę, Danny.

Chłopiec niechętnie wykonuje jej polecenie.

– Brawo! Grzeczny Danny, wstał – mówi i wyprowadza go z pokoju.

– To świetna terapeutka – wyjaśnia Tim, kiedy są już wystarczająco daleko. – Kiedy z nami zamieszkała, Danny’ego nie interesowało nic poza jedzeniem i pociągami. Teraz robi około tuzina rzeczy dziennie.

– To świetnie – mówisz, choć to nadal cię boli. – Jestem dumna z was obu.

Mówisz to, ale pamiętasz swoją radość, kiedy oboje odkryliście stosowaną analizę behawioralną, metodę nauczania dzieci autystycznych, która według niektórych badań była w stanie wyleczyć je, a przynajmniej sprawić, by nie wyróżniały się na tle innych dzieci. Czy gdybyś wiedziała, że pięć lat później Danny wciąż będzie pracował nad utrzymaniem kontaktu wzrokowego, nadal miałybyś siłę walczyć?

Odsuwasz na bok tę myśl. Oczywiście, że tak. Każdy sukces – nieważne, z jakim trudem wywalczony – jest lepszy niż nic.

Danny kolejny raz wchodzi po schodach, tym razem wolniej, ze Sian depczącą mu po piętach. Kiedy dociera do sypialni, kobieta sięga po niebieski pociąg.

– Dobra robota, Danny. Oto Tomek.

– Oto Tomek – powtarza Danny jak echo, po czym siada na podłodze i ustawia pociąg obok pozostałych. Nagle, bez ostrzeżenia, podnosi na ciebie stroskany wzrok.

– Ma... – zaczyna. – Ma-ma. – Śmieje się.

– Czy on właśnie nazwał mnie mamą? – pytasz zdumiona.

Tim płacze z radości. Ty też byś płakała, gdybyś mogła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Abbie Cullen zjawiała się kilka tygodni po oświadczeniu Tima. Spekulowaliśmy, że musiała dokończyć zlecenie albo nie była pewna, czy chce z nami pracować. Nieczęsto miewaliśmy gości – nasi sponsorzy mieli obsesję na punkcie bezpieczeństwa, a o lokalizacji firmy zdecydowała cena za metr kwadratowy, nie życie towarzyskie. Tak więc stwierdzenie, że Abbie zrobiła wejście, mówi mniej o niej, a znacznie więcej o naszym hermetycznym życiu.

Jeszcze zanim usłyszeliśmy, jak Tim woła: „Słuchajcie, ludzie!”, większość z nas zauważyła ją w recepcji; a jeśli nie, z całą pewnością wszyscy zobaczyli, jak Tim wybiega jej na spotkanie. Po pierwsze była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Miała na sobie podarte obcisłe džinsy, sięgające niemal do kolan kowbojki, a upięte na czubku głowy rudawobrazowe warkocze sprawiały, że wydawała się jeszcze wyższa. Czarny tatuaż – ktoś powiedział później, że to wzór hawajski albo maoryski, albo celtycki – pokrywał bok jej szyi i ciągnął się w dół lewego ramienia. Ale tym, co najbardziej nas uderzyło, było to, jak bardzo młoda się wydawała. W naszej branży, gdzie człowiek po dwudziestce może uchodzić za

weterana, miała w sobie świeżość i niewinność, która wyróżniała ją spośród nas.

– Słuchajcie, to Abbie Cullen. Nasza pierwsza artystka rezydentka – oznajmił Tim, wprowadzając ją do otwartej przestrzeni biurowej. – Jej prace są niesamowite, więc rzućcie na nie okiem w sieci. Abbie zostanie z nami przez sześć miesięcy i będzie pracowała nad projektami.

– Jakimi projektami? – spytał ktoś.

– Jeszcze nie zdecydowałam – odparła Abbie. – Mam nadzieję, że będą miały związek z tym, czym się zajmujecie. – Jej głos miał nosowe brzmienie z Południa, a jej uśmiech rozświetlał pomieszczenie.

Nie wiedzieliśmy, czy ktoś celowo go uruchomił, ale jeden z shopbotów wybrał tę właśnie chwilę, by do niej podejść.

– Cześć, jak się dziś czujesz? – zapytał radośnie. – Żakiet, który prezentuję, świetnie by na tobie wyglądał. – Rzecz jasna nie miał na sobie żadnego żakietu, to była tylko próbna gadka, którą wgraliśmy w prototyp. – Może pochodzimy razem po sklepie? Wybiorę kilka rzeczy, które powinnaś przymierzyć. Nosisz rozmiar trzydzieści osiem, tak?

– Masz mnie – rzuciła ze śmiechem Abbie i z jakiegoś powodu, chociaż wcale nie było to śmieszne, my też się roześmialiśmy. Zupełnie jakby nasze dziecko powiedziało coś rozbrajająco niestosownego do odwiedzającej nas ważnej osoby.

Tim również się zaśmiał, a jego śmiech brzmiał jak piskliwy chłopyć chichot.

– Abbie będzie pracować w K-trzy – oświadczył, mając na myśli jedną z sal konferencyjnych, ale Abbie go powstrzymała.

– Wolałabym dostać biurko tutaj, żebyśmy mogła poczuć klimat tego miejsca. Jeśli to nie problem.

– Jak chcesz – odparł, wzruszając ramionami. – Bądźcie pomocni. I uczcie się od niej. Stymulujcie ją. Inspirujcie. Pamiętajcie, że jest tutaj nie dla swojego, ale dla waszego dobra.

Co, kiedy pomyśleliśmy o tym później, nie było z jego strony najcieplejszym powitaniem. Ale taki był Tim.